

Od Szarych Szeregów do PRL-u

10 maja 2025

8 maja 1945 roku zakończyła się II wojna światowa w Europie. Jednym z tych, którzy przetrwali jej koszmar, jest Tadeusz Wojciechowski – urodzony w 1925 roku warszawiak, harcerz Szarych Szeregów, ochotnik przy batalionie „Kiliński”, jeńiec niemieckich obozów. Po wojnie został m.in. cenionym profesorem nauk ekonomicznych, wysokim urzędnikiem państwowym, podsekretarzem stanu oraz rektorem uczelni. W rozmowie z Julianem Mordarskim opowiada o swoich doświadczeniach z czasów wojny – od samego początku, przez Powstanie Warszawskie i niewolę, aż po powojenne losy i refleksje.



– Panie Tadeuszu, bardzo się cieszę, że możemy porozmawiać. Zaczniemy od samego początku.

– Krótko przed wojną byliśmy w sytuacji finansowej... jakby to ująć – niezłej, choć nie najlepszej. Dorabiająca się rodzina. Ojciec miał trochę pecha. Był dyrektorem oddziału banku, który był spółką polsko-francuską. Miał cholernie długą nazwę – nauczyłem się jej na pamięć: Polski Bank Przemysłowy dla Królestwa Galicji, Łądu i Wielkiego Księstwa Krakowskiego. Centrala banku mieściła się w Krakowie, ale w Warszawie funkcjonował duży oddział, przy ulicy Senatorskiej. Ojciec był

jego dyrektorem. Niestety, w 1939 roku Francuzi wycofali kapitał. Dlaczego? Tego nie wiem – byłem wtedy za młody, żeby mnie to interesowało. Ale tak – kapitał się wycofał, bank musiał ogłosić upadłość. Znalazł się w stanie likwidacji. Syndykiem został adwokat, który był zarazem dobrym znajomym mojego ojca. A ojciec został zarządcą masy upadłościowej. Pieniądzy było mniej, ale nadal żyliśmy godziwie. W 1939 roku ojciec gdzieś wyjechał. I tu pojawia się pytanie, na które nie umiem panu odpowiedzieć, ale je postawię. Nigdy nie widziałem ojca w mundurze, ale w tamtym czasie nazywano go „kapitanem”. To był wysoki stopień. Krążyły plotki, że był oficerem wywiadu. Może tak było, może nie – nie wiem. Był wyjątkowo skryty, niechętny do rozmów na tematy zawodowe. W każdym razie, gdzieś wyjechał w czasie wybuchu wojny i wrócił po dwóch, może trzech tygodniach – nadal w cywilnym ubraniu, ale już nie tym, w którym wyjechał. Mieliśmy też ogromnego pecha. Mieszkaliśmy wtedy na Wareckiej – sam środek Warszawy, tuż za obecnym gmachem Narodowego Banku Polskiego. Domek z ogródkiem w samym centrum. Ogródek był wydzielony z posesji, na której znajdował się warsztat obsługujący autobusy. Ojciec miał w tej firmie jakieś udziały – nie wiem, na jakich zasadach. Tak czy inaczej, bomba trafiła dokładnie w nasz domek. Dosłownie zniknął – wszystko się albo rozleciało, albo spaliło. Ocalało jedynie to, co mama zakopała wcześniej w piwnicy: jej biżuteria i jakieś inne precjoza. Ojciec, jak tylko wrócił, szybko „zapłacił na nowo korzenie”. I znów – wracają te pogłoski o wywiadzie. Wciąż jacyś ludzie przychodzili, wychodzili, ojciec gdzieś zniknął... i nagle pieniądze znowu zaczęły się pojawiać. Wynajęliśmy najpierw bardzo skromne mieszkanie, potem trochę lepsze. I to już pamiętam dobrze – ojciec przyszedł kiedyś po obiedzie z bardzo eleganckim mężczyzną i powiedział mamie i mnie: „To jest pan Silverstein. Żyd z niemieckim nazwiskiem. Mój kolega. W związku z utworzeniem getta oddaje nam swoje mieszkanie pod opiekę”. To mieszkanie mieściło się przy ulicy Szpitalnej 5 – bardzo dobre miejsce. Następnego dnia poszliśmy z ojcem je obejrzeć. Był tam jeszcze pan Silverstein i jego żona – nieładna, ale

piękna, taka w typie południowym, wręcz włoskim. Po kilku dniach rzeczywiście się wyprowadzili do getta, a my przejęliśmy ich mieszkanie.

– Który to był rok?

– Trudno dokładnie powiedzieć, ale wydaje mi się, że to był rok 1943. Może końcówka 1942. W tym czasie już byłem bardzo zajęty działalnością konspiracyjną. Wciągnęły mnie Szare Szeregi. Harcerzem byłem właściwie od dziecka, więc naturalnie wszedłem w ten świat. Szybko odnalazłem się w rytmie działania – mały sabotaż, czasem ochrona większych akcji, kolportaż. Czuło się, że żyjemy w czymś ważnym. Ojciec wciąż prowadził likwidację banku – nawet w czasie okupacji ta machina jakoś funkcjonowała. A potem przyszedł rok 1944 – Powstanie.



– Jak wyglądał dla Pana sam początek Powstania – moment, w którym wszystko się zaczęło?

– O ile na próbnym alarmach w mojej drużynie wszystko działało bez zarzutu, o tyle w dniu wybuchu Powstania nie otrzymaliśmy rozkazu na czas. Łącznik nie przeszedł – a właściwie przeszedł, ale bardzo późnym wieczorem, kiedy wszystko już się zaczęło. Wykonałem wtedy rozkaz rezerwowy – jako drużynowy 28. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej. Zebrałem mój zastęp – pięciu, może sześciu chłopców – i zgłosiliśmy się

do najbliższego zgrupowania, którym był batalion „Kiliński”. Pamiętam reakcję oficera dyżurnego – był niemal w szoku z radości. Powiedziałem mu, zgodnie z prawdą, że skończyliśmy dwuletnie szkolenie dla łączników dalekiego zasięgu w Warszawie. Umieliśmy poruszać się podziemiami, piwnicami, bez wychodzenia na ulicę – nawet na duże odległości. Jak pan dzisiaj o tym mówił, to mi się przypomniało – że rzeczywiście wtedy, pod ziemią, zaczęła się nasza najtrudniejsza droga... W Powstaniu nie spałem prawie przez dwa tygodnie. Wracałem tylko na chwilę – myć się, przebrać – i znowu wychodziłem. Chodziłem z meldunkami, paczkami, rozkazami. Czasem to była koperta, czasem pudełko, ale zawsze coś ważnego. Pamiętam, że docieraliśmy nawet na Mokotów, który był w dużej części zajęty przez Niemców. Trzeba było iść tak, żeby nikt nie zauważył. Niektórym się wydaje, że to tylko bieganie – ale to była robota z głową. W pewnym momencie wróciłem do Szarych Szeregów, do swojego dawnego środowiska. Mój dowódca, Michał Filipowicz „Ryszard”, wciągnął mnie z powrotem do grupy. Znowu pracowałem przy łączności – tym razem w dyspozycji sztabu warszawskiego. To była konkretna służba.

– Kiedy dostał Pan swój pierwszy pseudonim? To był „Olek”, prawda?

– Tak, pseudonim „Olek” miałem w konspiracji – dostałem go, kiedy wstąpiłem do Szarych Szeregów, czyli mniej więcej w 1942 roku. Ale później zaczęli mnie też nazywać „Globus”.

– „Globus” – to mnie właśnie ciekawiło najbardziej. Skąd taki przydomek?

– Ha, ha, ha... Bo byłem maniakiem geografii! Potrafiłem odpowiedzieć na każde pytanie z geografii – a jak czegoś nie wiedziałem, to od razu szukałem odpowiedzi. To przyłgnęło do mnie i tak już zostało.

– Pana ojciec również trafił do batalionu Kiliński?

– Tak. Trafiło go gdzieś trzeciego albo czwartego dnia

Powstania. Ani ja nie wiedziałem, że on tam jest, ani on – że ja się do tego batalionu zgłosiłem. Dostał postrzał od samolotu nurkującego – kula wyrwała mu kawał nogi, naruszyła tętnicę. Opiekował się nim lekarz w szpitalu pod ówczesnym bankiem Pekao, na Świętokrzyskiej – w piwnicach. Nie pamiętam nazwiska tego lekarza, ale mówił mi, że jeśli wszystko się dobrze zagoi, to ojciec przeżyje. Wtedy robi się operację, zakłada skórę zastępczą, no, jest szansa. Odwiedzałem ojca co dwa, trzy dni. Był w coraz lepszym stanie. Byłem spokojny. Ale przyszedłem któregoś dnia, a sanitariuszka powiedziała: „Ojca już nie ma”. Okazało się, że w nocy przenieśli kilku rannych na drugą stronę Śródmieścia, na Hożą – tam był drugi oddział szpitala. Ja nie mogłem wtedy tam pójść, bo miałem zadania do wykonania. Tam zmarł – rana się otworzyła, stracił krew. Później ktoś mi tylko powiedział, że pochowano go na podwórku jednej z kamienic. Po wojnie mama go ekshumowała i przeniosła na Powązki.

– A Pan sam dotrwał do końca Powstania?

– Tak. Byłem lekko ranny – odłamki z granatnika w nodze, może ze trzydzieści, ale drobne, jak szpilki. Bolało, ale nie zagrażało życiu. Postanowiłem wyjść z batalionu „Kiliński” – byłem tam znany, nikt nie protestował. Wyszliśmy zwartą grupą do niewoli. Przeszliśmy przez Aleje Jerozolimskie, Plac Narutowicza aż do fabryki kabli. Tam nocowaliśmy dwie noce – pamiętam to ledwo, ale ktoś później potwierdził. Niemcy próbowali nas przekonywać, żebyśmy stworzyli jakąś polską brygadę do walki z komunizmem.

– Po kapitulacji próbowali Was namówić do współpracy przeciwko Sowietom?

– Tak. Próbowali przekonać nas, żebyśmy stworzyli jakąś „błękitną dywizję”. Ale nikt się nie zgłosił. Po dwóch nocach załadowali nas do pociągu towarowego – na szczęście do przyzwoitych wagonów, z małymi, zakratowanymi okienkami. Zaczęliśmy jechać na zachód. My, specjaliści od geografii –

sam do nich należałem – byliśmy zadowoleni. Pojawiła się nadzieja: skoro na zachód, to może trafimy na front aliancki? Początkowo traktowaliśmy to jako żart. Ale kiedy minęliśmy Poznań, a potem – w nocy – aglomerację berlińską, stwierdziliśmy: coś jest na rzeczy. Może rzeczywiście nas wywiozą do aliantów? Ale nie – rano wyładowali nas w Fallingbommel. To był wielki obóz jeniecki, Stalag XI-B. Kilkadziesiąt tysięcy jeńców. Miasto prawie nietknięte. Przechodziliśmy przez sektor francuski i tam spotkało nas niesamowite powitanie: śpiewy, „Marsylianka”, rzucali nam czekoladę. Niesamowita radość – że młodzi Polacy przyjechali. Byli naprawdę wzruszeni.

– Jak Niemcy traktowali Was w obozie?

– Trzeba pamiętać, że był to już rok 1944. Widać było, że Niemcy upadają. I widać też było, że nie są już w stanie organizacyjnie ani materialnie utrzymać ani samych siebie, ani nas – jeńców. Na początku byli surowi. Ale z czasem – co zaskakujące – zaczęli się robić niemal... koleżeńscy. Trzeba tu dodać coś, o czym wiele osób nie wie: obozy jenieckie nie podlegały gestapo ani SS – tylko Wehrmachtowi. To ogromna różnica. Wehrmacht to była jeszcze ta stara niemiecka armia, z tradycjami. Inaczej niż SS – które było zbrojnym ramieniem Hitlera – i gestapo, które było jego tajną policją. Więc – na początku stosunek był chłodny, oziębły. Ale nie wrogi. Potem – coraz bardziej ludzki. Wachmani byli często ludźmi rodzinnymi, trzydziesto-, czterdziestoletnimi. Zmieniali się.

– Jak długo przebywał Pan w Fallingbommel?

– Nie wiem dokładnie, ale chyba krótko. Część kobiet, które były z nami, została od razu wywieziona – jak się później dowiedzieliśmy – do kobiecego obozu w Oberlangen. Nas – mężczyzn – podzielono. Część została, a część znów załadowano do pociągu i ruszyliśmy na zachód. Znowu byłem w nerwach. Gdzie oni nas teraz wiozą? W Fallingbommel było już słychać artylerię – front się zbliżał. Ale nie pojechaliśmy daleko.

Trafiliśmy do miasteczka Dorsten. Mała, bardzo ładna miejscowość. Obóz mniejszy – około 4 tysięcy jeńców. Dużo spokojniejszy. Co ciekawe, pilnowali nas oficerowie pamiętający jeszcze pierwszą wojnę światową. Starsi ludzie, bardzo przyzwoici. I może właśnie dlatego powinienem był tam zostać. Ale byłem niespokojnym duchem...

– Później zgłosił się Pan do Arbeitskommando – licząc na lepsze warunki, prawda?

– Tak. Powiedziano nam, że kto chce, może dołączyć do tzw. Arbeitskommando – to była forma pracy przymusowej, ale w zamian dostawało się lepsze warunki: niemieckie wojskowe wyżywienie, opiekę, mniej represji. No i ja – jak idiota – zgłosiłem się. Takich „idiotów” było więcej, może nawet do 150. Nie jechaliśmy pociągiem, tylko ciężarówkami – zawieźli nas do Mönchen-Gladbach. Tam trafiliśmy do Arbeitskommando nr 365. No i jak tylko wysiedliśmy, to zbaranieliśmy. Miało być luksusowo – a tu baraki brudne, przekrzywione od bombardowań, żadnej obsługi. Wszystko musieliśmy zrobić sami: naprawić prycze, uporządkować teren, wyprostować to wszystko.

– Czyli – warunki były zupełnie inne niż obiecywano?

– Oczywiście. Po tygodniu zaczęli nas wysyłać do pracy – z cywilnymi majstrami. Jedni byli pod ochroną wachmanów, inni nie. Z czasem zrozumieliśmy, że ci bez obstawy to często byli ex-żołnierze – ludzie zaufani. Ja trafiłem do jednego takiego komanda. Dowodził nim sierżant z pierwszej wojny światowej. Nosił ostentacyjnie żelazny krzyż – tak jakby ciągle był w mundurze – przy szyi, pod kołnierzem. Wysoki, surowy, ale uprzejmy i współczujący. Pomagał. Pierwszego dnia przydzielono nas do porządkowania zbombardowanego domu. Bomba najwyraźniej spadła przypadkiem – wyglądało to tak, jakby samolot zgubił ładunek. Dom był częściowo zniszczony, ale piwnica ocalała. Sierżant, który nami dowodził, powiedział tylko: „W piwnicy są zapasy – słoiki z owocami, nawet z mięsem. Jedzcie, ile chcecie, i zabierzcie coś dla kolegów. Tylko dobrze to

schowajcie pod narzędziami albo drewnem, żeby nikt nie zauważył przy bramie". Tak właśnie robiliśmy – codziennie. Dzięki tej pracy naprawdę się dożywialiśmy. To nie były okruchy, to było prawdziwe jedzenie, które ratowało nam zdrowie i siły. I właśnie wtedy doszło do nalotu. Pewnego dnia Amerykanie przeprowadzili klasyczny nalot dywanowy. Nie wiem, czemu akurat tam – może był gdzieś w okolicy jakiś drobny zakład zbrojeniowy, ale naprawdę niewielki. A jednak przyleciało ponad sto samolotów. Liczyliśmy – ponad sto. Zrzucali bomby nie na konkretne cele, tylko według czasu – regularnie, co trzy sekundy. Dywan z bomb. Schowaliśmy się u starszych Niemek, które nas znały z okolicy. Zaprowadziły nas do solidnej piwnicy, wzmocnionej drewnianymi słupami. Pamiętam – miałem wtedy na sobie belgijski czy francuski płaszcz, narzucony na ramiona. Oparłem się o jeden z tych słupów i czekaliśmy. I wtedy – trzask. Ogłuszający. Okazało się później, że bomba trafiła tuż obok – w jeden z sąsiednich segmentów szeregowca. Tamten się zawalił, pociągnął za sobą nasz, a my razem z nim. Zasypało mnie. Oddychać jeszcze mogłem, choć mówić już trudniej. Ręce miałem przygniecione, wszystko przykryte tym przeklętym płaszczem. Nie mogłem ich ruszyć – było za ciasno, zbyt wiele gruzu. Ktoś jęczał obok. To był jeden z moich kolegów. W piwnicy był piecyk – te Niemki go tam trzymały, bo jeszcze było chłodno. Piecyk się przewrócił i przycisnął mu nogę. Paliła się. Noga się po prostu paliła. Nie dziwię się, że tak krzyczał. Odgrzebywali nas chłopcy z komanda – nasi, ściągnięci z podobozu. Gołymi rękami, bo nie było żadnych narzędzi. Według różnych relacji – sam nie jestem w stanie tego dokładnie określić – byłem pod gruzami prawie osiem godzin. Chodzić nie mogłem. Położyli mnie na drzwiach wyrwanych z ruin. Tak samo kolegę ze spaloną nogą. I tu trzeba Niemcom oddać sprawiedliwość – zapakowali nas do jakiegoś samochodu i zawieźli do wojskowego szpitala. Chyba w Dortmundzie. Ten szpital przetrwał – widziałem go po wojnie. Kolega przeżył, ale nogi już nie dało się uratować. Musieli mu ją amputować.

– Potem wrócił Pan do obozu?

– Tak, z powrotem do tego Arbeitskommanda. Odpoczęliśmy może ze dwa dni. I znów trzeba było iść do pracy – jak gdyby nigdy nic. Ale ja miałem już dosyć. I wtedy postanowiłem uciec. No i to był błąd...

– Uciekał Pan sam, czy z kimś?

– Z kolegą. Nazywał się – albo miał pseudonim – Rybka. Do dziś nie wiem, czy to było jego prawdziwe nazwisko. Tylko tyle zapamiętałem. Byliśmy razem w komandzie pracy. Któregoś dnia poszedłem do naszego majstra – tego sierżanta z pierwszej wojny – i powiedziałem mu wprost, że planujemy ucieczkę. On zareagował zupełnie spokojnie, wręcz nienaturalnie. Powiedział tylko: „Odradzam”. Zapytałem: „Dlaczego?”. A on: „Alianci i tak tu przyjdą. Nie ma sensu się do nich spieszyć. A to bardzo niebezpieczne. Jeśli was złapią, nie będzie żadnego sądu. Po prostu was zastrzelą. Bo będziecie traktowani jak szpiegzy”. Ale człowiek młody, to i głupi... Mimo wszystko postanowiliśmy spróbować. Zapisaliśmy się do pracy w gazowni – tam był niski parkan. W czasie przerwy, takiej niby śniadaniowej, przeskoczyliśmy przez płot. Wsiadliśmy do tramwaju, mieliśmy przygotowane brudne, cywilne płaszcze. Wyglądaliśmy fatalnie, ale to było lepsze niż mundur. No i tramwajem pojechaliśmy do miejscowości, którą zapamiętałem jako „Referendum”. I tam zrozumiałem, że popełniłem harcerski błąd – nie miałem żadnej mapy. Kompletnie nie wiedzieliśmy, w którą stronę iść, żeby dojść do aliantów. Iść na oślep? Czekać? Przez trzy dni i trzy noce próbowaliśmy się zbliżyć do frontu. Nocowaliśmy w ogródkach działkowych. Zimno było jak jasna cholera. Nie było się czym przykryć. Znalazłem jakiś stary dywanik, kolega wyciągnął jakieś koce – i tak się okrywaliśmy. W końcu mówię do niego: „Słuchaj, popełniliśmy błąd. Nie mamy mapy, nie wiemy, gdzie jesteśmy i dokąd iść. Trzeba się przyznać do porażki. Wracamy. Zgłosimy się do Dorsten albo do naszego Arbeitkommanda i powiemy, że warunki w tym obozie były nie do zniesienia. Niech myślą, że nie uciekaliśmy do aliantów, tylko

że chcemy wrócić do starego miejsca”. No i tak zrobiliśmy. Wuppertal. Duże miasto. Trafiliśmy na placyk, było słonecznie, dość ciepło. Na rogu, przy skrzyżowaniu, stał niemiecki policjant – regulował ruch, jak to wtedy bywało. Podeszliśmy do niego. Powiedzieliśmy, że jesteśmy jeńcami wojennymi, że chcemy wrócić do swojego obozu. Zdziwił się. Był wyraźnie przestraszony, patrząc na nasze mundury w kolorze khaki. Zielonkawę, typową.

– To były belgijskie mundury?

– Tak, belgijskie. Niemcy rozdawali je jeńcom, jak nie mieliśmy w czym chodzić. Oni przejęli alianckie magazyny i nie bardzo wiedzieli, co z tym sprzętem robić, więc po prostu – rozdawali. Tak samo później Kanadyjczycy dali mi karabin – Lee–Enfield z pierwszej wojny światowej – zapakowany w pergamin, nieużywany, prosto z magazynu. Policjant przerwał swoją służbę, zaprowadził nas na posterunek. Tam dali nam zupełnie przyzwoity obiad, pozwolili się wykąpać – prysznic, mydło, wszystko było. W porządku. Ale wieczorem... zawieźli nas do więzienia. Bo nie mieli pojęcia, co z nami zrobić, gdzie nas trzymać. Trafiliśmy do celi, w której było może z piętnastu Ukraińców i jeszcze kilku Rosjan. Wszystkie prycze zajęte. Spaliśmy na betonowej podłodze, pod prysznicami. To nie było ani wygodne, ani ciepłe. Rano się – przepraszam – wkurzyłem. Wziąłem drewniany stołek i zacząłem nim walić w żelazne drzwi. Starszy Rosjanin w celi próbował mnie powstrzymać: „Nie wal, cholera, jeszcze przyjdą i pobiją!”. Ale przyszło dwóch Niemców. A ja miałem przy sobie tę małą książeczkę – dostaliśmy takie pakiety z tekstem konwencji genewskiej w pięciu językach. Była wielkości czerwonej książeczki Mao Tse Tung. Wymachiwaliśmy tymi książeczkami. Powiedziałem, że chcę widzieć się z komendantem więzienia, bo trzymanie jeńców wojennych w zwykłym więzieniu to złamanie konwencji. Rozmawiali ze mną w miarę spokojnie. Trzeba pamiętać, że wtedy mówiłem po niemiecku całkiem nieźle. Dziś już nie, ale wtedy – bez problemu. Jeden z nich wrócił po

chwili i zaprowadził nas do komendanta. A komendant... przyjął nas niemal na baczność. Przepraszał, kłaniał się, mówił, że o niczym nie wiedział, że nie było go wtedy na miejscu, że to była nocna zmiana. Zaraz kazał przynieść specjalne śniadanie, kolejny prysznic, mydło – wszystko, co trzeba. Pewnie przestraszył się, że wojna już się kończy... Okno w jego gabinecie było otwarte. Odgłos armat był bardzo wyraźny. No więc wszystko się zgadzało – alianci byli blisko. On był podpięty pod Wehrmacht, więc zachowywał się zgodnie z procedurą. Powiedział, że przyjedzie ktoś z komendy – Bachmann – i nas odbierze. Czekaliśmy na tego Bachmanna ze trzy godziny. Ale trzeba przyznać – wykąpaliliśmy się, zjedliśmy bardzo przyzwoite śniadanie. Nawet jajka były. Bachmann w końcu przyjechał. Z tego co pamiętam, to był ktoś z ostatniego naboru – miał około sześćdziesiątki, a dla nas to już był wtedy staruszek.

– Pan miał wtedy 18–19 lat?

– Tak. Zabrali nas tramwajem do podobozu, który znajdował się w Wuppertalu. W obozie byli głównie Rosjanie, to był duży podobóz. Zaprowadzono nas do sekretariatu komendanta. Sekretarka – umundurowana – poprosiła, żebyśmy usiedli. Podała herbatę. Europa! – chciałoby się powiedzieć. Powiedziała, że komendant właśnie ma gościa, ale zaraz nas przyjmie. Rzeczywiście, po jakichś trzydziestu minutach zobaczyliśmy, jak komendant wychodzi z wysokim oficerem. Odprowadził go na korytarz, chyba aż do wyjścia. Zauważyliśmy, że ten oficer nie miał jednej ręki, a na ramieniu – na miejscu amputowanej ręki – miał opaskę z napisem „Ostfront”, czyli „front wschodni”. Najpewniej tam właśnie stracił rękę. Ten oficer, wracając, zatrzymał się na moment przed nami i – perfekcyjnym, bez żadnego akcentu – polskim językiem powiedział: „Panowie Polacy?”. Odpowiedzieliśmy, że tak. „W takim razie za chwilę się zobaczymy”. I poszedł. Po kolejnej pół godzinie sekretarka wprowadziła nas do gabinetu komendanta. Jego samego jeszcze nie było. Na stoliku: obrus, ciasto, dwie filiżanki, cała

butelka wina, trzy kieliszki (bo komendant też popijał). I druga herbata. Zupełnie inaczej niż w obozie... Zupełnie. Trzy kieliszki nawet się znalazły – do tego wina. Po chwili komendant wszedł. Przywitał się ponownie bardzo uprzejmie. I wtedy zapytałem go: „Panie poruczniku, skąd Pan tak dobrze zna język polski?”. A on na to: „Bo ja go znam lepiej niż niemiecki”. Zdziwiłem się: „Ale jak to?”. I on mi opowiedział: „Urodziłem się w Polsce. Chodziłem do polskiej szkoły. Mam polską maturę. Ojciec był dyrektorem kopalni w Bytomiu. Pół mojej przeczytanej literatury to literatura polska”. No i rozmawialiśmy – jak Polak z Polakiem. Długo. Był bardzo życzliwy. Powiedział mi wtedy: „Gdyby to ode mnie zależało, zatrzymałbym was tutaj. Według moich obliczeń alianci będą tu za dwa tygodnie. Ale nie mogę was zatrzymać – jesteście w ewidencji, muszę was odesłać z powrotem do tego cholernego obozu”.

– Pomylił się bardzo z tym terminem? Źle oszacował czas, mówiąc, że alianci dotrą za dwa tygodnie?

– Dwa tygodnie... Tak wtedy powiedział. Ale, wie pan, w warunkach frontowych to wcale nie jest dużo. Tam, pod Arnhem, w okolicznych lasach, były potężne walki. Front się posuwał, potem cofał, potem znowu ruszał do przodu – i tak w kółko. Od strony amerykańskiej, brytyjsko-holenderskiej i polskiej. Ale z reguły się cofał coraz mniej, więc summa summarum posuwał się do przodu, tylko bardzo powoli. A on tak sobie to obliczył. Tak to zapamiętałem – że miał nadzieję, że zajmie to dwa tygodnie.

– I co działo się później?

– Następnego dnia wsadzili nas do samochodu i przewieźli do Dorsten. Tam natychmiast postawili nas przed sądem oficerskim. Siedziało czterech oficerów, w tym komendant obwodu – bardzo spokojny człowiek, pamiętający jeszcze pierwszą wojnę światową. Był nastawiony pokojowo, bo wiedział, że Niemcy tę wojnę już przegrywają. Wygłosił do nas coś w rodzaju

przemówienia: że w tym naszym Arbeitskommandzie Millera rzeczywiście źle się działo, że ludzie się skarżyli, że było brudno i że personel był niesprawny. I że w tej sytuacji zupełnie się nie dziwi, że dwóch młodych ludzi postanowiło stamtąd uciec. Uznał, że nie jest to sprawa wymagająca żadnej kary. Inni oficerowie pokiwali głowami – i tak nas uniewinniono. W ciągu godziny dostaliśmy po dwie czy trzy paczki Czerwonego Krzyża, które od dawna leżały w magazynie, bo – jak to u Niemców – wszystko było skrupulatnie skatalogowane. Potem zaczęła się ewakuacja. Obóz został rozwiązany. Alianckie wojska były już bardzo blisko. Po kilku dniach marszu wachmani – dwaj niemieccy sierżanci – przyszli do nas i powiedzieli: „Panowie, zostawiamy wam broń. Idziemy do domu. Nie mamy tu już nic do roboty”. I poszli. Zostaliśmy sami, bez żadnej ochrony.

– I co wtedy zrobiliście?

– To była mała miejscowość – Witbeck się nazywała. Ładne miejsce, łąka, pole. Byliśmy tam z grupą Francuzów. Zrobili boisko, zorganizowali mecz piłki nożnej. Ja się piłką specjalnie nie interesowałem, ale wielu kolegów tak. W trakcie tego meczu, od strony lasu, pojawił się pancerny samochodzik zwiadowczy – nieduży, ale z bardzo długą anteną i wieżyczką. Z tej wieżyczki wyglądał facet. Zatrzymał się pod lasem, potem ostrożnie podjechał do tłumu. Wyjaśniliśmy mu – każdy w swoim języku – że właśnie wyzwolił obóz jeniecki. On wyjął radio i po angielsku nadał, że odnalazł jeńców – Polaków i Francuzów – i prosi o pomoc oraz oficera do objęcia dowództwa. Po godzinie czy dwóch rzeczywiście przyjechało kilka samochodów – w tym karetka Czerwonego Krzyża i pojazd komendanta odcinka frontu. Powiedzieli nam, że musimy się spakować i iść na tyły, czyli na zachód. Forpocztę pancerne parły do przodu bardzo szybko, ale zaplecze nie nadążało – powstawała przez to luka. Niemcy już się nie liczyli, ale były jeszcze oddziały SS, które odmawiały złożenia broni. I wciąż stwarzały zagrożenie.

– Czyli do zakończenia wojny zostało jeszcze trochę czasu?

– To było mniej więcej 20 kwietnia. Mniej więcej piętnaście dni do momentu, kiedy zaczęto już mówić o podpisaniu kapitulacji. No i wojna dobiegała końca. Spakowaliśmy się, zaczęliśmy się cofać. W jakiejś większej miejscowości nas zatrzymano. I muszę powiedzieć: podziwiałem organizację kanadyjską. Podjechał nieduży sznur ciężarówek, wysiadło kilkunastu facetów, wyładowali mnóstwo paczek, skrzynek, rozstawili długi stół – nie wiem z czego, może z ławek – już nie pamiętam. Kazali nam się wykąpać w strumieniu, który tam płynął. Notabene w temperaturze jak dzisiaj – czyli nie najlepszej do kąpieli. Ale wykąпалиśmy się.

– **Dziś jest trzynaście stopni.**

– No właśnie. A na brzegu stało dwóch facetów – w spódniczkach, jakichś fartuchach – i obsypywali nas DDT. Po wyjściu z wody szliśmy wzdłuż stołu. I tylko dwie rzeczy pamiętam: na początku dawali kalesony, a na końcu prezerwatywy. Ale komplet – mundur, czapkę, płaszcz, wszystko. Tylko z butami jak zawsze był kłopot.

– **Wszystko nowe?**

– Tak. Kazali przymierzyć każdy element i jeśli coś nie pasowało – wymieniali. W tej miejscowości zastał nas koniec wojny. Kanadyjczyk na motocyklu zajechał i zawołał po angielsku, francusku i jeszcze w jakimś języku, że wojna się skończyła, kapitulacja podpisana – ale niektóre oddziały wciąż walczą, więc mamy pozostać uzbrojeni. Dodał, że następnego dnia zostaniemy ewakuowani. I faktycznie – rano przywieźli pistolety, całkiem porządne, a przede wszystkim słynne „Lebel” francuskiej produkcji.

– **Czyli karabiny?**

– Karabiny. Muszę panu powiedzieć – długie, celne, bardzo ciężkie, niestety.

– **Ile mogły ważyć? Mniej więcej?**

– Nie potrafię dokładnie powiedzieć, ale ponad dwa kilo na pewno. Nadawał się do... do „bagnet na broń” – to znaczy miał uchwyty do bagnetów. Długi jak dzida – mógł być traktowany jak dzida.

– A jak wyglądały reakcje, kiedy dowiedzieliście się, że wojna się skończyła? Czy od razu pojawiła się radość i optymizm? Czy jednak była jeszcze rezerwa – że to może nie koniec, że jeszcze nie jesteście wyzwoleni?

– Było bardzo entuzjastycznie. Wracamy do domu – to było najważniejsze. Francuzów zaczęto od razu zabierać – samochodami i samolotami. Samochody jechały z nimi do różnych miejscowości we Francji, a część przerzucano od razu samolotami – do Paryża, do Marsylii, gdzieś tam na południe. No więc oczywiście... jakiś skurcz myślowy człowiek miał, jak zawsze – bo co dalej? Ale była powszechna ulga. Zresztą, co ciekawe – wydawało nam się, że nawet niemieckie gospodynie w tych małych miejscowościach były zadowolone, że to już koniec. Miały po prostu dość wojny. One w tej polityce się specjalnie nie orientowały. Nawet ten Hitler – to dla nich był po prostu jakiś buc, który siedzi gdzieś w Berlinie i się nie interesuje zwykłymi ludźmi.

– I co dalej – jak wyglądał wasz powrót?

– A, powrót do kraju. To już inna historia. Kanadyjczycy traktowali nas wtedy jako siły pomocnicze. I przyjeżdżali po nas chyba pięć razy – do różnych miejscowości, gdzie kierowano nas do ochrony lotnisk, byłych obozów, magazynów albo nawet pociągów stojących na bocznicach. To trwało do mniej więcej końca września. Wtedy trochę ochłonęliśmy. Były więźniarki z Bergen-Belsen – tego obozu koncentracyjnego – zostały przeniesione do dawnych koszar Centrum Wyszkożenia, bo sam obóz został spalony. I tam zaczęliśmy pełnić służbę wartowniczą. Taką książkową: pobudka, podział na patrole, obiad, znowu ochrona – czasem jakieś interwencje, uspokajanie ludzi... trochę jak policja. Ale cały czas myśleliśmy o powrocie

do kraju. Rozmowy z oficerami łącznikowymi – tymi z Londynu – niczego nie dały. Byli to oficerowie z zachodniego wojska. Zorganizowano nam co prawda wycieczkę między innymi do generała Maczka, do Wilhelmshaven, do Pierwszej Dywizji Pancernej. Uścisnąłem generałowi dłoń, powiedziałem, że powinniśmy wracać do Polski. Zgodził się, ale – miałem wrażenie – nie był zadowolony. I nagle pojawiła się szansa. Przyjechał kolega z Powstania, z Szarych Szeregów – jeszcze z konspiracji. Zaufany. Przyjechał przypadkiem, nie wiedząc, że my tam jesteśmy. Zatrzymał się w naszej jednostce i pogadał z chłopakami. I ze mną też.



– O czym rozmawialiście?

– Powiedział: „Po co wy tu siedzicie? Z amerykańskiej strefy co parę dni jedzie pociąg do Polski. A tutaj? Anglicy mają inne podejście – nic nie ruszają”. No i pomyśleliśmy, że ma rację. Odezwał się we mnie ten mój niespokojny duch. Poszedłem do naszego oficera – mieliśmy przecież oficerów dowodzących – i mówię, że chciałbym pojechać do Frankfurtu nad Menem, odwiedzić przyjaciół, których tam mam. Poprosiłem o trzydniowy urlop i przepustkę. Dostałem darmowy bilet kolejowy, odpowiedni dokument – i kilku chłopaków poszło ze mną. Wsiedliśmy do pociągu... A właściwie – próbowaliśmy. Był tak zatłoczony przez Niemców, że ostatecznie położyliśmy się na

dachu i tak dojechaliśmy do Frankfurtu. Rzeczywiście, miałem tam kolegów – w jednym z obozów pod Frankfurtem. Wypałem się, najadłem, a jeden z nich mówi: „Słuchaj, jutro stąd rusza pociąg do Polski. Kilku z nas też jedzie. Skontaktuj się z nimi i razem wróćcie”. Tak zrobiłem. I dobrze to pamiętam – to nie był ten wielki, znany dworzec frankfurcki, ten z tymi ogromnymi, półokrągłymi dachami nad peronami. Nie. To było coś mniejszego, bocznego. Taki punkt zbiorczy – nic szczególnego. Ale najważniejsze, że następnego dnia pociąg rzeczywiście ruszył w kierunku Polski. Ja sam znalazłem miejsce w takiej małej budce doczepionej do wagonu – były czasem takie drewniane dobudówki. I tak – w tej budce – wracałem do kraju. Do wagonu towarowego oczywiście, bo to były wagony towarowe. W tej budce były dwa miejsca. Dosiadła się do mnie Czeszka z Pragi. Jechaliśmy razem przez Pragę, ona tam wysiadła. A ja jechałem dalej – powolutku, powolutku – aż do końca.

– Gdzie pan wysiadł?

– Wysiadłem w Koźlu – tam był taki przystanek. Pamiętam, że jeszcze na tym dworcu wymieniliśmy poglądy między sobą – chłopcy, młodzi. Zastanawialiśmy się, czy iść dalej po cywilnemu, czy w mundurze. Bo różne rzeczy się mówiło – że w Polsce teraz taki ustrój, że mogą każdego wsadzić, rozstrzelać, cholera wie co. No więc była dyskusja. Ale ja powiedziałem: „Słuchajcie, mam zasadniczą wątpliwość – jeśli jesteś w mundurze, to muszą cię traktować jak byłego żołnierza. Przecież to ta sama wojna, ten sam front. Idziemy w mundurach”. No i poszliśmy – w mundurach. Oczywiście, kolejka. U nas zawsze są kolejki. W końcu mnie wpuszczają – dwóch poruczników, jeden gorzej ubrany, drugi bardziej elegancki. Obaj w mundurach. I po paru słowach już wiem – ten skromniejszy to ze Straży Granicznej, a ten drugi to od Służby Bezpieczeństwa. Pytali: skąd, kto, nazwisko, imię... „A pan jest w angielskim mundurze?”. „Tak” – mówię. „Bo Kanadyjczycy nam rozdawali”. „A pan z Powstania?”. „Z Powstania”. „I pana koledzy też?”. „Też”. „A to witamy!” – i wtedy ten od

Bezpieczeństwa wyciągnął butelkę jakiegoś koniaku – i nam nalał. I ja wtedy mówię: „Słuchajcie, ale myśmy mieli takie wiadomości, że wy tu macie bardzo zły stosunek do ludzi z Powstania”. A ten z UB mówi: „O ten stosunek to się ty pytaj tych generałów. My jesteśmy niżsi oficerowie i mamy normalny stosunek”. No i rzeczywiście – załatwili nam bilety. Mnie do Katowic, gdzie mieszkała część mojej rodziny. Liczyłem, że będą mieli jakieś wieści o mojej matce, z którą nie miałem żadnego kontaktu. Inni koledzy pojechali do Poznania, bo tam mieli bliskich. Każdemu wręczono po kilka złotych – nie pamiętam dokładnie ile – tak na drogę, żeby kupić sobie coś do jedzenia. No i kazali napisać bardzo szczegółowy życiorys. Napisałem. Oddaję temu z UB, a on czyta, czyta... i mówi: „Zapamiętałeś ten życiorys?”. „No tak” – odpowiadam. „To dobrze. Bo będziesz go pisał jeszcze wiele razy. Takie są zasady”. „No to będę pisał” – mówię. „Znam go, jest prawdziwy”. I rzeczywiście – po tej rozmowie wsiedliśmy do swoich pociągów. Ja pojechałem do Katowic. Adresu nie znałem, ale znałem drogę – bo byłem tam u tych naszych krewnych kilka razy jako chłopiec. I jako chłopiec zapamiętałem, jak się tam dochodzi z dworca. No i trafiłem. Przyjęto mnie. Nakarmiono. Wykąpałem się. Dali mi pokój, żebym się porządnie wyspał. Powiedziano mi, że matka żyje, że jest w Warszawie – tylko że mieszka w kuchni, bo całe mieszkanie zajęło „Społem”. I tak... dla mnie wojna się skończyła. Po wojnie wróciłem do cywilnego życia i pracy zawodowej. Zrobiłem magisterium, później doktorat i muszę powiedzieć, że później najwięcej w życiu dała mi łatwość pisania.

– I nadal pan pisze – z czego bardzo się cieszę.

– Piszę, piszę. Ale nie dla reklamy ani dla jakiejś kariery – bo teraz to już za późno. Piszę, żeby dać ujście pewnym przekonaniom. Choć wiem, że niektóre z nich nie wszystkim się podobają. Na przykład uważam, że my – jako państwo – niepotrzebnie zrywamy stosunki z Rosją. Rosja jest zbyt duża, żeby z nią walczyć, i zbyt bogata, żebyśmy mogli ją jakoś

materialnie uszczypnąć. Poza tym Rosjanie, tak jak my, są Słowianami. A przez trzy lata, kiedy bywałem w Moskwie, poznałem tam też rosyjskich przyjaciół. To ludzie z głębokimi, wewnętrznymi sentymentami. Oni naprawdę kochają każdego, kto okaże im życzliwość. I tak jak kiedyś powiedziałem: u Niemców pytajcie generałów – to samo dotyczy Rosjan. Przeciętny człowiek w Rosji myśli inaczej niż jego władza.

– Na zakończenie chciałbym zapytać również o okres, który przecież obejmuje największą część Pańskiego dorosłego życia – czyli PRL. W 1989 roku wielu ludzi miało wobec tamtego ustroju poważne zastrzeżenia, ale dziś coraz częściej słyszy się też głosy doceniające jego osiągnięcia i społeczne zdobycze. Jak Pan – jako ktoś, kto przez dekady pracował w państwowych instytucjach – ocenia tamten system z perspektywy czasu?

– Gdyby PRL potrwał dłużej, mógłby się stać zupełnie przyzwoitym ustrojem i państwem – tak jak dzisiejsze Chiny. Choć może się mylę... Ale ja uważam, że w PRL-u panował większy porządek obywatelski niż dziś. Kiedyś rozmawiałem z prezesem dużej spółki – zarabiającym kolosalne pieniądze. I, szczerze mówiąc, nie wiem za co. A w PRL-u, proszę pana, nie było nawet przepisu, tylko taki zwyczaj: dyrektor państwowego przedsiębiorstwa – a byłem takim – nie mógł zarobić więcej niż trzykrotność najwyższej płacy robotniczej w tym zakładzie. Nie wiem, z czego to się brało, ale tak po prostu było. I nikomu nie przyszło do głowy, żeby to zmieniać. Zupełnie inaczej niż teraz. Dziś dyrektorzy i cała kadra zarządzająca zarabiają nawet setki razy więcej niż zwykli pracownicy. I ta wielka nierówność w wynagrodzeniach ciągle coraz bardziej się globalnie pogłębia. I nie wiadomo właściwie – za co. Bo w PRL ta trzykrotność była wystarczająca, konkretna, uchwytana. Można ją było wytłumaczyć, jakoś obronić. To raz. A dwa – zarządzanie państwowym majątkiem też było inne. Napisałem kiedyś taki artykuł, że w dobrze zorganizowanym państwie te gałęzie przemysłu, które decydują o życiu obywateli i o bezpieczeństwie państwa, powinny pozostać państwowe. A nie w

rękach prywatnych, albo – jeszcze gorzej – w spółkach. Energetyka – musi być państwowa, tak samo jak zbrojeniówka.

– Tak samo infrastruktura – drogi, koleje, sieci przesyłowe...

– Tak. I parę innych rzeczy – służba zdrowia, może też część farmacji. A ta cała zmiana ustroju, która przyszła po upadku PRL-u i wejściu rządów solidarnościowych... Mnie to nie zdenerwowało, nie zdołowało. Ja byłem po prostu zdziwiony. Że coś tak ogromnego robi się w oparciu o uliczne emocje. Solidarność wyrosła z manifestacji. Ja rozumiem – polityka się nimi żywi, także strajkami. Ale jak zaczyna „strajkować świecznik”, to już absurd. Wszystko zaczyna się walić. Państwo nie wytrzymuje.

– Ja mam podobne poczucie. Coraz częściej mówi się dziś otwarcie, że transformacja po 1989 roku była po prostu grabieżą – zamiast ratować zakłady, sprzedawano je za bezcen, często celowo. Coraz więcej młodych ludzi ma wrażenie, że państwo zostało im odebrane. Że PRL, przy wszystkich swoich błędach, dawał ludziom awans społeczny, stabilność, mieszkania, edukację. A po 1989 roku zostały kredyty, bezrobocie i reprivatyzacja. Panie Tadeuszu, bardzo Panu dziękuję za tę rozmowę – za wspomnienia, za doświadczenie, za jasny głos w sprawach, które nadał dzielą i bołą. Mam ogromną nadzieję, że w kolejnym spotkaniu wrócimy właśnie do tematu PRL-u. Jeszcze raz dziękuję.

– Dziękuję bardzo.

Z Tadeuszem Wojciechowskim rozmawiał Julian Mordarski

Zdjęcia z albumu rodzinnego Tadeusza Wojciechowskiego

Źródło: Trybuna.info